



Anna Bichalska "Snowód"

Fahrenheit Crew



rys. Mariusz Siergiejew

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zgodzić się na odwiedzin u starej ciotki Ireny. Ostatnio byłem tam jako dziecko, a miejscowość leżała prawie na końcu świata. Nawet trafić było trudno. Nic tylko ciągnące się kilometrami wsie, jedna bardziej zapadła od drugiej.

I przeplatający je ciemny, gęsty las, wśród którego niewielka, piaszczysta droga wydawała się nitką zaplątaną w sierści mamuta. Do tego upał, który sprawiał, że podróż była cholernie uciążliwa.

- Gdzie to jest, do cholery? - syknąłem i otarłem pot z czoła.

Właśnie przejechaliśmy obok tablicy z napisem Snowód. Wyminąłem grupkę dzieciaków bawiących się przy ulicy. Patrzyły na nas jak na kosmitów, którzy dopiero co przemknęli w latającym spodku. Prawdopodobnie to jedna z tych wiosek, gdzie diabeł mówi dobranoc i rzadko ktokolwiek przejeżdża, pomyślałem.

- Może już minęliśmy - powiedziała Marta i rozejrzała się niepewnie, zdejmując nogi z deski rozdzielczej. Buty leżały porzucone obok siedzenia, dokładnie tak samo jak puszki po piwie. Podczas podróży wytrąbiła już kilka.

Marta była młodszą siostrą mojego przyjaciela. Dawniej rodzice zawsze kazali mu jej pilnować i wszędzie za nami łąziła. Była małą, pyską smarkulą. Dziś, kiedy kończyła już czwarty rok studiów i wyrosła na piękną kobietę, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby za mną chodziła. Nic z tego. Traktowała mnie jak jeszcze jednego starszego brata. Zabrała się ze mną, bo miałem po drodze

wyrzucić ją w miejscowości, gdzie umówiła się ze znajomymi. Chcieli jechać na parę dni w góry.

- Niemożliwe. Zauważyłbym.
- Może by kogoś zapytać o drogę? - podsunęła.
- A widzisz tu kogoś oprócz tych dzieciaków?
- Może wiedzą.
- Cholera... - westchnąłem.
- Co jest? Czemu stanęliśmy?
- Coś z silnikiem.

Przekręciłem kluczyk i odpaliłem. Po krótkiej chwili rżenia silnik zdechł. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy.

- Nie ruszymy. Coś się schrzaniło. Przeklęty gruchot - mruknąłem.
- Co robimy?
- Wątpię, żeby był tu jakiś warsztat. Muszę zadzwonić do ubezpieczyciela. Niech wyślą lawetę czy coś.

Wyciągnąłem telefon z kieszeni i wklepałem numer. Rozległ się tylko głuchy trzask i cisza.

- Nie ma zasięgu. Niech to jasny szlag! - zakląłem. - Jeszcze tylko tego nam do szczęścia brakowało.

Marta wygrzebała telefon z plecaka.

- U mnie też nic - mruknęła po chwili.
- No to jesteśmy udupieni.

Marta zerknęła na dzieciaki i parsknęła.

- Oglądałeś „Dzieci kukurydzy”?
- Co?
- Nieważne - mruknęła i uśmiechnęła się. - Może ktoś pozwoli nam zadzwonić od siebie. Chyba nawet na takim wygwizdowie mają telefony.
- Racja. Idziemy - zdecydowałem.

Trzasnąłem drzwiami. Wyszliśmy na piaszczystą drogę. Grupka dzieciaków nadal przypatrywała się nam z ciekawością. Spojrzałem na nie z niechęcią. Czułem się jak mała w zoo. Skręciliśmy w stronę najbliższego domostwa. Była to stara chałupa, jak zresztą wszystkie dookoła, ale dość zadbana i ładnie utrzymana. Zapukaliśmy w ciemne, sękaty drzwi. Po chwili zaczęły otwierać się ze skrzypieniem.

- Tak? - Siwa głowa starca wysunęła się ostrożnie. Wydało mi się, że po jego twarzy przemknął wyraz wielkiego zdziwienia, kiedy nas spostrzegł. Pewnie niezbyt często widywali tu obcych.

- Dzień dobry - zagadnąłem. - Samochód nam się zepsuł. - Wskazałem ręką na starego fiata. - Czy moglibyśmy skorzystać z telefonu?

- Tak. Wejdźcie. - Otworzył szerzej drzwi. Ubrany był w proste, brązowe spodnie i szarą koszulę. Wyglądał czysto i schludnie. Tak jak jego dom.

- Elu, mamy gości! - zawołał, prowadząc nas wąskim korytarzykiem.

- Gości? Cóż ty mówisz, Henryku... - dobiegł nas słaby głos. - Przecież wiesz że... - Kobieta odwróciła się i przerwała, widząc, jak wchodzimy do niewielkiej kuchni.

- Państwo chcieliby skorzystać z telefonu.

- Z telefonu? Ale przecież... - zamilkła i spojrzała niepewnie na męża.

- Zapłacę za połączenie - wtrąciłem. Sądząc po wnętrzu domu, nie byli zbyt nadziani.

- Nie, nie. Nie trzeba. - Staruszka machnęła chudą ręką.

Kuchnia przypominała taką sprzed dobrych kilkadziesiąt lat. Stary kaflowy piec, gumoleum na podłodze, wielki, zniszczony stół, stare szafki. Nawet radio, które cicho grało, trzeszcząc od czasu do czasu, miało drewnianą obudowę. Przez chwilę obawiałem się, czy znajdę tu coś tak nowoczesnego, jak telefon.

Staruszek wskazał mały stolik pod oknem, przykryty białym haftowanym obrusem. Stał na nim, niczym wisienka na torcie, bladoczerwony telefon z obrotową tarczą. Wykręciłem numer informacji. Gospodarze patrzyli na mnie wyczekująco, jakbym miał zaraz zacząć recytować wiersz. Marta rozsiadła się na jednym z taboretów. Wpatrywała się ze skupieniem w ceratę w kurczaki, jakby zamierzała je wszystkie policzyć.

Czekałem i czekałem. Nie doczekałem się. W słuchawce słychać było jedynie monotony szum.

- Spróbuję jeszcze raz - westchnąłem i ponownie wykręciłem numer.

Jednak i tym razem się nie udało.

- Chyba nie działa - mruknąłem.

Staruszkowie spojrzeli po sobie strapieni.

- Często tu u nas nie działa - przyznał w końcu mężczyzna i wzruszył ramionami. - Może za jakiś czas... - dodał niepewnie, jakby sam w to nie wierzył.

Nie wiedzieliśmy, co robić. Zbliżał się wieczór, a zapowiadało się na to, że szybko stąd nie wyjedziemy.

- Można tu gdzieś wynająć pokój? - zapytałem.

- Pokój? - Staruszek podrapał się po siwej brodzie.

- Może Matuszek? - wtrąciła kobieta.

- Tak. Matuszek... - Staruszek otworzył okno i krzyknął w stronę grupki dzieciaków, które dalej bawiły się przy ulicy. - Antek! Chodź no tutaj!

Chłopiec podbiegł do okna. Był rudy i piegowaty, a lekko szpiczaste uszy i brak dwóch przednich zębów sprawiały, że j z twarzy przypominał małego, szczerbatego elfa.

- Zawołaj no ojca. Prędko - nakazał mu starzec.

Mały skinął z powagą głową i już go nie było.

Po chwili wrócił w towarzystwie barczystego, czarnowłosego mężczyzny, na oko około czterdziestki. Przybysz na nasz widok zawahał się w progu.

- Państwo chcieliby wynająć pokój. - poinformował go staruszek. - Samochód im się zepsuł. A telefony znowu nie działają. - Spojrzał niechętnie na aparat, stojący na stoliku.

- Aaa, pokój... - Mężczyzna podrapał się po ciemnej czuprynie. - Znajdzie się coś. - Tylko trzeba by najpierw wysprzątać. Dawno żeśmy nie odnajmowali. - Zerknął na nas - Przepraszam - dodał. - Nie przedstawiłem się. Wiesław Matuszek.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

*

„Gospoda pod czarnym jesionem” znajdowała się niedaleko domu staruszków. Budynek przypominał wiejską chatę, lecz był od niej większy. Napisy na brudnym szyldzie ledwie dało się odczytać. Zupełnie jakby wisiał tam już od co najmniej dwudziestu lat i nigdy nie był odnawiany. Zresztą, wcale bym się nie zdziwił, gdyby naprawdę tak było. Wypakowaliśmy bagaże z samochodu i ruszyliśmy za panem Wiesławem. Wspięliśmy się po skrzypiących drewnianych schodach na piętro. Tam, na końcu korytarza, pan Wiesław wskazał na drzwi z numerem trzy i podał nam klucz.

Pokój był stary i smętny. Urządzony tak, jak dom staruszka, w stylu sprzed kilku dziesięcioleci. Ale był czysty, a na łózkach rozścielono świeżą, białą pościel.

Łazienki nie znalazłem. Za to obok, w małym pomieszczeniu, które mogło być kiedyś schowkiem, stała miednica i kilka wiader z wodą. Aż dziwne, że w ogóle był tu prąd.

- Super - mruknęła Marta. - Prawie jak na pielgrzymce piętnaście lat temu.

Postawiliśmy bagaże. Rozejrzałem się dookoła i westchnąłem. Miałem nadzieję, że jutro uda nam się stąd jak najszybciej wynieść.

Marta wyszła ze schowka. Przed chwilą myła włosy i teraz machała głową, rozbryzgując wszędzie drobne kropelki wody. Zaczęła osuszać niesforne, lekko pokręcone pasma ręcznikiem.

- Jeszcze wcześniej - stwierdziła, spoglądając na zielony budzik stojący na jednym ze stolików.

- Może zwiedzimy trochę okolicę, skoro i tak mamy tu siedzieć do rana - zaproponowałem.

- Może być - odparła.

Ruszyliśmy na dół po skrzypiących schodach.

Wioska była już trochę mniej opustoszała, wokół domów krzątali się ludzie – gdy nas zauważali, popatrywali z ciekawością, kiwali głowami i unosili czapki. Jak to w małych miejscowościach, wieść o nas już zdążyła się roznieść. Widziałem też te same dzieciaki, co wcześniej. Wypatrzyłem szczerbatego elfa, syna pana Wiesława.

- Mały, macie tu coś ciekawego? Coś, co można zobaczyć? – zagadnąłem.

Dzieciaki popatrywały jedno na drugie.

- Kiedyś letnicy tu przyjeżdżali. W jeziorze się kąpać – odpowiedział.

- Macie tu jezioro?

- Tak. Tamtą drogą trzeba iść, przez las. Za tymi drzewami – wtrąciła nieduża dziewczynka.

Ruszyliśmy we wskazaną stronę. Komary cięły jak oszalałe, więc co chwilę słyhać było głuchoe plaśnięcie, kiedy je tłukliśmy. W końcu ścieżka się skończyła, a naszym oczom ukazało się spore jezioro. Słońce powoli zachodziło i rzucało na taflę różnokolorowe promienie światła. Trzeba przyznać, że wyglądało dość bajkowo. Niedaleko znajdowała się nieduża kładka, więc usiedliśmy na niej, zdjęliśmy buty i zanurzyliśmy stopy. Woda była ciepła, bo tego roku sierpień był gorący. Patrzyliśmy na jezioro w milczeniu. Słyhać było tylko ćwierkanie ptaków i żabie rechoty. Pachniało trzcina.

- Prawda, że piękne? – rozległ się nagle czyjś głos. Odwróciliśmy się, zaskoczeni. Przy kładce stał staruszek, do którego drzwi niedawno zapukaliśmy. Pan Henryk. Usiadł obok nas i zapatrzył się na jezioro. – A ma też swoją legendę.

- Legendę? – zaciekawiała się Marta.

- Tak. Trochę się interesuję takimi rzeczami. Legendami, baśniami, podaniami. Tutejsza historia jest dość ciekawa.

- Jaka? – zapytałem.

- Otóż dawno temu niedaleko tego jeziora, miał chatę pewien rybak. Nazywał się Snowid...

Popłynął raz pewnego Snowid łowić ryby. Był ciepły wieczór sierpniowy. Łódka płynęła gładko po spokojnym, błękitnym jeziorze, kiedy raz po raz zanurzał wiosła. W końcu zatrzymał się na środku jeziora i zarzucił sieć. Po pewnym czasie poczuł, że coś się szarpie pod wodą, więc zaczął sieć wciągać. W środku coś się szamotało. Dziwne to było, pokraczne. Przypominało rybę, tyle że nogi miało i dziwaczny, niby ludzki, łeb.

- Wypuść mnie! – zaskrzeczało. – Wypuść, albo popamiętasz.

Snowid patrzył z rozdziawioną gębą. Nie widział czegoś takiego nawet w snach, choć nieraz różne dziwy mu się śniły, z których to opowiadania słyhał. Nieraz dzieciaki we wsi zbierały się, żeby go posłuchać. A i dorośli czasem ciekawie nadstawiali uszu.

- Wypuść mnie natychmiast! – krzyczało dalej stworzenie.

- A to ci heca – parsknął Snowid. – W wiosce mi nie uwierzą, com złapał. – Rozplątał sieć i chwycił stworzenie za skórę na karku. Przyglądał mu się przez chwilę. Straszdyło nagle nadęło się jak bańka

i wystrzeliło w górę. A potem dmuchnęło Snowidowi w twarz ciepłym, srebrnym pyłem.

Obudził się, leżąc na dnie łódki. Słońce wisiało już nisko. Prawie całe niebo przysłonięte było ciemnymi chmurami, jakby je kto sadzą posypał. Łódka kołysała się niebezpiecznie, pchana potężnymi podmuchami. Jezioro, całe granatowe, niespokojne i ciemne, falowało jak brudna kapota targana wiatrem. Na burzę szło. Snowid chwycił za wiosła. Machał nimi wytrwale, ale łódka opornie brnęła przez granatowe wody. Tymczasem poczęły się już pierwsze krople i grzmoty z nieba sypać. Nim się Snowid spostrzegł, już przechyloną łódkę pochłaniała woda. Po chwili i on sam zaczął znikać w mokrej czerni. Przebierał rękami i nogami, ale mimo że był dobrym pływakiem, nie potrafił utrzymać się na powierzchni. Czuł, jak z każdą chwilą opada coraz niżej i niżej, niby w czarny dół. Opadał i opadał, aż poczuł pod stopami coś twardego. Stał na nogach i otworzył oczy. Wokół, wśród zielonych światła, widział świat pełen nieznanych istot. Jedne były straszne, inne piękne. Z ich zielonkawych ust wydobywały się bąbelki powietrza. Ich domy były ulepione z mułu, okna zrobione z rybich pęcherzy. Snowid przyglądał się i przyglądał, aż coraz bardziej brakowało mu tchu. Naraz jedno ze stworzeń podpłynęło i złapało go za rękę. Rybaka przeszył lodowaty chłód. Istota ciągnęła go coraz wyżej i wyżej, zielonkawe światła zaczęły znikać, wszystko znów wypełniła czerń. Po chwili wynurzyli się na powierzchnię. Snowid chciwie łapał oddech. Burza tymczasem ucichła. Łódka stała na spokojnej wodzie, jak gdyby nigdy nic. Rybak podpłynął i wdrapał się do środka. Dopiero wtedy przyjrzał się istocie. Miała bladą skórę i dziwne rybie oczy, czuć było od niej mułem, jej włosy były zielone niby wodorosty.

- Czy to mi się śni? - zapytał głupio.

- Nie - powiedziała dziwna kobieta. - Chmurnika żeś rozgniewał. Dlatego dmuchnął sennym pyłem i burzę zesłał. Uratowałam ci życie, ale odtąd będzie ono należeć do mnie. Gdy nadejdzie czas, wrócę po ciebie i będziesz musiał pójść ze mną.

- Ktoś ty jest? - zapytał.

Ale kobieta już zniknęła. Tylko kręgi na jeziorze zostały, jak wtedy, kiedy wielka ryba skoczy, porwie ważkę i znów zanurzy się w wodzie.

Po tym wydarzeniu Snowid opowiadał wszystkim o spotkaniu z Wodną Panią oraz krainie na dnie jeziora i cudach, które tam widział. Nikt jednak nie brał tego na poważnie. Wszyscy uważali, że to tylko jeszcze jeden z jego snów. Tak mijały lata.

Aż pewnego dnia, zimą, Snowid zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie się podział. Ale niektórzy powiadali, że widzieli jak tego dnia brnął boso po śniegu, mamrocząc niezrozumiałe słowa. Myśleli, że się gorzałki opił. Szedł w stronę jeziora...

- Potem jedni powiadali - dodał staruszek - że się utopił, kiedy pijany popływać chciał, i pod wodę jak kamień poszedł. Inni natomiast, że to Wodna Panna swoją obietnicę spełniła i przyszła po niego tej zimy.

- Ciekawe - przyznałem.

Przez chwilę cała nasza trójka patrzyła na jezioro. Pomarańczowa kula zachodzącego słońca odbijała się w wodzie jak wielka, zatopiona lampa. Wyglądała, jakby oświetlała tę inną, wodną krainę, gdzieś tam, głęboko, głęboko pod wodą.

*

Obudziłem się w nocy z pełnym pęcherzem. Że też akurat teraz musiało mnie przycisnąć, pomyślałem. Oczywiście nie było tu kibla. Wprawdzie domyślałem się, że jedno z wiader miało spełniać jego funkcję... Ale jakoś nie miałem ochoty do niego sikać. Marta spała. Widziałem jej bosą stopę wystającą spod kołdry. Postanowiłem, że zejść na dół i odleję się na świeżym powietrzu. Nie mogłem znaleźć butów, a nie chciałem zbudzić Marty, więc ruszyłem na bosaka. Zszedłem po skrzypiących schodach, minąłem starą jadalnię i wyszedłem za zewnątrz. Noc była wyjątkowo chłodna. Zupełnie jakby był co najmniej listopad, a nie sierpień. Poszedłem na tyły gospody i rozpiąłem rozporek. Kiedy skończyłem i ruszyłem z powrotem, poczułem, że marzną mi stopy. Pochyliłem się i przyjrzałem żdźbłom trawy w bladym świetle padającym z przedsionka. Szron. Przymrozek w sierpniu? Pogoda staje się coraz bardziej nieprzewidywalna. Ale żeby takie coś? Zrobiło mi się zimno, więc wróciłem do środka.

Wspinałem się wolno, bo nie chciałem narobić hałasu i obudzić Marty. Kiedy byłem na piętrze, usłyszałem skrzypnięcie drzwi, po chwili rozróżniłem jakieś głosy. Przystanąłem, nasłuchując. Czyżby mieszkał tu jeszcze ktoś oprócz nas? Zawróciłem i ruszyłem powoli w dół. Głosy były teraz o wiele wyraźniejsze. Zobaczyłem też blade światło. Przechyliłem się przez barierkę. W jadalni, przy słabym świetle małego żyrandola, siedziało kilkunastu ludzi. Może jednak pomieszczenie było dalej używane i nocami przychodzono tu się rozerwać? Rozpoznałem panów Wiesława i Henryka, była też żona tego ostatniego oraz kilkoro innych, kobiet i mężczyzn.

- Oni nie mogą się dowiedzieć - mruknął ktoś.
- Trzeba się ich stąd jak najszybciej pozbyć. Od lat nikt już tu nie trafiał.
- Że też akurat teraz...
- ...przed Nocą Bajagi - dodał ktoś.
- Jesteście pewni, że się zbliża?
- A jak. Mrozy już się zaczęły, to i jutro pewnie przyjdzie.
- Pecha mają i tyle - mruknęła jakaś kobieta.

Prawie podskoczyłem ze strachu, kiedy nagle ktoś dotknął mego ramienia. Odwróciłem się. W bladym świetle i w długiej koszuli wyglądała prawie jak zjawa. Marta. Odetchnąłem z ulgą. Przyłożyła palec do ust, nakazując ciszę.

- Usłyszałam głosy i wstałam. Chyba mówią o nas - szepnęła.
- Najwyraźniej - odezwał się również szeptem i ponownie spojrzałem w dół.
- Spokojnie. - Wychwyciłem uspokajający głos pana Henryka. - Jutro wyjadą przed nocą. Nikt dotychczas nie zabawił tu dłużej niż jedną noc.

Jedna z kobiet chuchnęła i z jej ust wydobył się obłok pary. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę.

- Więc to jednak jutro - mruknął ktoś.

Po tych słowach usłyszeliśmy z dołu ciche łkanie.

- Strach cię obleciał, co? - zapytał ktoś inny.

- A kogo nie? Baśka jeszcze po dzieciaku płacze. A to już cztery lata będą.
- Cztery lata. I tak długo nie było.
- Też mi pociecha. Nic, czas nam iść się szykować. Bo to wiadomo, kto tym razem?
- Niech Wiesław rozgłosi wszystkim. Zresztą, sami zauważą. Zimno idzie.

Zaczęli się zbierać. Wychodzili powoli, wśród pomrukiwań, kaszlnięć, pojedynczych szlochów i pociągnięć nosem. Wszyscy mieli miny ponure jak na pogrzebie. Po chwili światło zgasło i zaległa cisza.

Wróciliśmy wolno do pokoju i ułożyliśmy się w łóżkach.

- Chyba nie jesteśmy tu mile widziani - zagadnęła Marta.
- Jak to w małych wioskach. Nie lubią tu pewnie obcych. Trzeba się stąd jutro wynieść.
- Ciekawe, co to jest ta Noc Bajagi?
- Bo ja wiem? Może to jakieś tutejsze święto.
- Myślisz, że to dlatego nas tu nie chcą?
- Możliwe. Zresztą... Do jutrzejszej nocy już nas nie będzie. Nie zamierzam tu tkwić w nieskończoność.

*

Następnego dnia telefony ciągle nie działały. Jednak okazało się, że we wsi jest coś w rodzaju warsztatu. Pchaliśmy z kilkoma mieszkańcami auto, roztrzając kury, które uciekały nam z drogi z głośnym gdakaniem. Za nami jak na sznurku ciągnęła grupka dzieciaków. Sensacja.

W końcu Roszczyk, mechanik, zabrał się do roboty.

- Da się naprawić? - zagadnąłem.
- Da - mruknął, wysuwając się spod podwozia. - Godzina, dwie, i pojedzie.

Odetchnąłem z ulgą. Wróciliśmy do gospody i spakowaliśmy rzeczy. Czas było się stąd zmywać. Nie mieliśmy co robić w trakcie naprawy, więc ruszyliśmy nad jezioro. Po drodze spotkaliśmy dzieciaka pana Wiesława i niedużą, może pięcioletnią dziewczynkę.

- Nad jezioro idziecie? - zapytał chłopak, przystając w biegu.
- Idziemy - przytaknąłem.
- Dziś lepiej nie iść.
- Dlaczego?

Zawahał się.

- Zimno idzie... - powiedział cicho.

- Głupi ty, Antek. Przecież nawet w zimę chodzimy nad jezioro - wtrąciła dziewczynka..

- Głupiaś to ty - nadał się. - Ty z Noworodnych. Nie pamiętasz...

- Antek! Gdzie łazisz? Do domu wracaj! - krzyknęła jakaś kobieta, dobiegła do nas i pociągnęła chłopca za ramię. - Przecież wiesz ... - zgromiła go spojrzeniem i zerknęła na nas z przestraszeniem. - Państwo lepiej do gospody wróć. Zimno się robi. Na zewnątrz w ten czas lepiej nie siedzieć. - Złapała chłopca za rękę i pociągnęła w stronę jednej z chałup.

- Anka! Ty też! Do domu!- Dziewczynka pokazała nam język, a potem, chichocząc, pobiegła za bratem.

Wzruszyliśmy ramionami i poszliśmy w stronę jeziora. Chcieliśmy jeszcze raz je zobaczyć.

Dzień był wyjątkowo chłodny, a od jeziora ciągnęło zimnem jeszcze bardziej. Kiedy zanurzyliśmy stopy, przeszył nas lodowaty dreszcz. Jednak kiedy posiedzieliśmy chwilę, machając nogami pod wodą, zrobiło nam się trochę cieplej.

- Co to? - zapytała nagle Marta.

- Co?

- Nie słyszysz?

Nadstawiłem uszu. I rzeczywiście. Wychwyciłem monotony dźwięk.

- Cykady?

Pokręciła głową.

- Trochę podobne, ale brzmi inaczej.

- Bardziej metalicznie. I... chrapliwie?

- Właśnie - przyznała.

- Ciekawe, co to takiego?

- To z jeziora? - W jej zielonych oczach spostrzegłem cień strachu.

- Chyba tak.

Przysłuchiwałem się jeszcze przez chwilę. Głuchy, metaliczny dźwięk to narastał, to znów zanikał, pulsował w uszach. Przepęniał mnie niewytłumaczalnym niepokojem. Po minie Marty wywnioskowałem, że chyba miała podobne odczucia. Od jeziora zawiąło chłodem. Skuliliśmy się na kładce. Czarne włosy Marty powiewały na wietrze, otulając jej twarz.

- Zimno. Wracajmy - powiedziała i odgarnęła kosmyk z ust.

Pokiwałem głową.

Dudnienie towarzyszyło nam przez całą drogę powrotną. Szliśmy w milczeniu.

Kiedy wróciliśmy do warsztatu, samochód był już na chodzie. Jak zadowolone mruczenie kota, powitało nas monotonne burczenie silnika. Zapakowaliśmy bagaże i podziękowaliśmy mechanikowi. Wsunąłem mu kilka banknotów, spojrział na nie trochę zdziwiony i podziękował.

Wsiedliśmy i z ulgą zatrzasnąłem drzwi. Miałem już dość siedzenia tutaj. Marta wygrzebała spod siedzenia książkę i westchnęła. Ruszyliśmy.

Chyba z pół wioski zebrało się, żeby zobaczyć, jak odjeżdżamy. Patrzyli z zaciekawionymi minami, trochę wyczekująco, jak widzowie przed przedstawieniem. Pewnie chcieli się nas jak najszybciej pozbyć, żeby obchodzić to swoje święto. Dzieciaki przepychały się jedno przez drugie, chcąc mieć lepszy widok.

- Niezły korowód pożegnalny - westchnąłem.

- Szkoda, że powitalny taki nie był. - powiedziała Marta i zarzuciła nogi na deskę rozdzielczą. Całą drogę mnie to rozpraszało. Nogi miała cholernie zgrabne. Resztę też. Znowu przywołałem z pamięci obraz małej, pyskatej dziewczynki z dwoma kucykami, której zawsze chcieliśmy się pozbyć. I która wrzeszczała: „powiem mamie!”. Trochę pomogło... Westchnąłem i wcisnąłem pedał gazu. Dzieciaki biegly za nami przez chwilę, krzycząc i machając rękami. Marta też im pomachała.

Wyjechaliśmy na wąską drogę wśród gęstego lasu.

- Spójrz na mapę - powiedziałem do Marty. - Wyjęła ją ze schowka i przypatrywała się przez chwilę.

- Musimy kierować się tą drogą, potem w chyba lewo...

Podążyła mi atlas drogowy.

Zerknąłem.

- Na to wygląda. A potem na zachód. Poprzednim razem chyba skręciłem nie tam, gdzie trzeba. Pełno tu tych małych drózek, prowadzących nie wiadomo dokąd.

Jechaliśmy jakiś czas, potem skręciłem w lewo, w inną wąską drogę, podobną do tej, z której właśnie wyjechaliśmy. Aż w końcu dotarliśmy do znaku „Snowód”. Mieszkańcy dalej stali tak, jak ich zostawiliśmy.

- Cholera, jednak trzeba było skręcić w prawo - mruknąłem i zawróciłem.

Dzieciaki znów machały i biegly za nami. Ponownie znaleźliśmy się na tej samej piaszczystej uliczce. Kiedy dojechaliśmy do skrzyżowania, tym razem skręciłem w prawo. Po jakimś czasie ze zdziwieniem spostrzegłem, że moim oczom kolejny raz ukazała się tablica z napisem „Snowód”.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - jęknąłem.

- Dziwne. Chyba nigdy stąd nie wyjedziemy. - Marta odłożyła książkę.

Tym razem mieszkańców było już mniej. Tylko dzieciaki niezmiernie nas odprowadzały.

- Może jedźmy teraz prosto, przynajmniej dostaniemy się do głównej drogi i stamtąd jakoś damy radę - zaproponowała Marta.

- Niech będzie. Chcę się w końcu stąd wynieść.

W pewnym momencie zauważyłem na szybie coś wilgotnego. Deszcz? A potem z nieba zaczęły sypać się powoli maleńkie płatki. Zamknąłem boczną szybę i włączyłem wycieraczki.

- Śnieg w sierpniu? - Marta patrzyła z niedowierzaniem. - Mogłam wziąć narty w te góry - parsknęła.

- Cholera, co to w ogóle ma być? Pieprzona Grenlandia?

Robiło się coraz chłodniej, aż palce na kierownicy zaczęły mi kostnieć. Włączyłem ogrzewanie, ale na razie nie niewiele to dało. Pomyślałem, że będę musiał wymienić w końcu tego starego gruchota na coś lepszego. Śnieg pokrywał już drogę równą, cienką warstwą.

Marta wzdrygnęła się i chuchnęła w dłonie. Z jej ust wydobył się obłoczek pary.

- Zatrzymajmy się na chwilę, bo zaraz chyba zamarznę - powiedziała. - Lepiej ubiorę się w coś cieplejszego, skoro tak piękną zimę mamy tego lata.

Przystąpiłem na tę propozycję, bo sam też czułem się, jakbym za chwilę miał zamienić się w cholerną bryłę lodu. Otworzyliśmy bagażnik i wyjęliśmy torby. Marta naciągnęła dzinsy na szorty i nałożyła gruby polar z kapturem. Ja wygrzebałem cienką kurtkę przeciwdeszczową, znalazłem też dwie pary rękawic roboczych. Jedne włożyłem, a drugie rzuciłem Marcie. Wyglądaliśmy pewnie co najmniej dziwnie. Ale przynajmniej było nam w miarę ciepło.

- Cholera z tą pogodą. Chyba te przepowiednie o Armageddonie to jednak prawda - mruknąłem.

Ruszyliśmy.

Diabelna droga ciągnęła się i ciągnęła, jakby nigdy nie miała zamiaru się skończyć, do tego śnieg coraz bardziej ograniczał widoczność. Kiedy już myślałem, że w oddali widzę skrzyżowanie i główną asfaltówkę, znowu moim oczom ukazywał wąski pasek, ciągnący się nie wiadomo dokąd. W końcu okolica zaczęła się wydawać dziwnie znajoma. I tablica... Po raz kolejny wróciliśmy do wioski.

Tym razem nikogo nie było. Nawet dzieciaki gdzieś zniknęły. Tylko padający śnieg z wolna pokrywał wszystko nieruchomą, czystą bielą.

- Niech to szlag - zakląłem. - To chyba jakiś popieprzony Trójkąt Bermudzki. Jak dalej będzie tak sypać, to dziś stąd już nie wyjedziemy - mruknąłem i spojrzałem na grubą warstwę śniegu na drodze.
- O ile kiedykolwiek nam się to uda - dodałem ponuro.

- Chyba nie mamy innego wyjścia, jak tylko wrócić do gospody i przeczekać tę zawieję - westchnęła Marta.

Zapukaliśmy do drzwi chaty pana Wiesława, mieszczącej się opodal. Otworzył i spojrzał na nas zdziwiony.

- Nie udało nam się wyjechać - wyjaśniłem. - Chcielibyśmy przeczekać zawieję.

- Dobrze. - Kiwnął głową, a potem zniknął na chwilę we wnętrzu. Gdy się znów pojawił, ubrany był w gruby kozuch. Wyszedł na zewnątrz i poprowadził nas do gospody. Otworzył wielkie drzwi i podał nam klucz.

- Zamknijcie się na wszystkie zamki - szepnął. - Wiatr hula. W nocy nigdzie nie wychodźcie. Pod żadnym pozorem. Zimno idzie. Noc Bajagi.

Już otwierałem usta, żeby zapytać, o co chodzi z tą nocą, ale szybko odszedł, rozglądając się na boki. A potem zatrzasnął za sobą drzwi chałupy.

Poszliśmy do tego samego pokoju co wcześniej. Rzuciliśmy bagaże i opadliśmy na łóżka.

Na zewnątrz wiało coraz bardziej. Wyjrzelśmy przez okno. W dole nie widać było żywej duszy. Tylko psy skomlały i wyły jak potępione. Śnieg zasypywał wszystko.

Nagle dobiegł nas jakiś dźwięk. Przypominał płacz dziecka.

- Słyszysz? - zapytała Marta.

- Słyszę.

Uchyliłem okno. Mroźny podmuch od razu wdarł się do środka, syjąc płatkami śniegu.

- To chyba gdzieś od strony jeziora.

- Chyba tak - mruknąłem.

Postanowiliśmy wyjść na zewnątrz i odszukać źródło płaczu. Albo czegoś, co płaczem się wydawało. Ruszyliśmy i, brnąc w coraz głębszym śniegu, podążaliśmy za dźwiękiem. Kiedy doszliśmy do jeziora, zauważyliśmy przy jego brzegu jakąś postać. Rozpoznaliśmy starego Henryka. Stał i przypatrywał się zamarzającej wodzie. Kiedy byliśmy już blisko, odwrócił się i spojrzał na nas zaskoczony.

- Chyba znów zabłądziliśmy - powiedziałem, jakby próbując się wytłumaczyć. - Słyszeliśmy płacz dziecka.

- To tylko wrażenie. Zawsze tak jest przed tą okropną nocą. Chyba wracają. A może po prostu sobie przypominają? A ich dusze krążą tu, zanim powrócą tam, skąd przyszły.

- Kto? O czym pan mówi?

- Nadciąga Noc Bajagi. Uciekajcie. Skryjcie się w pokoju. Źle się stało, że trafiliście tutaj akurat w takim momencie. Byli już tacy jak wy. Zawsze jednak udawało im się wyjechać dość szybko. Nigdy nie byli świadkami Nocy Bajagi. W ogóle nie mieli pojęcia, gdzie się znaleźli. Wyjeżdżali w pełnej nieświadomości. Tak było lepiej.

- Czym jest ta cholerna noc? - zapytała Marta.

- Powtarza się już od trzydziestu lat. Nigdy do końca nie wiadomo, kiedy znów nadejdzie. Ostatnio miała miejsce cztery lata temu.

- O co w tym wszystkim chodzi? - kaszlnąłem.

Nagle staruszek ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

- To wszystko moja wina - powiedział.

- O czym pan mówi? - krzyknąłem zniecierpliwiony.

- Zrobiłem to dla dobra wioski. Chciałem, żeby zawsze było tu cicho i spokojnie. Gdybym tylko nie znał tej starej opowieści i nie przyszedł wtedy, tej okropnej nocy... Ja tylko chciałem, żeby było tak, jak zawsze.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknąłem.

Pan Henryk zdawał się jednak mnie nie słyszeć. Mówił dalej, a łzy spływały mu po policzkach. Brodę oblepiały płatki śniegu.

- Tamtej nocy przyszedłem tutaj. Zawsze to robiłem, kiedy nie byłem w zbyt dobrym nastroju. Bardzo lubiłem to miejsce, to jezioro. Pozwalało mi zebrać myśli, odprężyć się. Wtedy, siedząc i rozmyślając, przypominałem sobie legendę o Snowidzie.

- Tę, którą wcześniej nam pan opowiadał? - zapytała Marta.

Skinął głową.

- Kiedy tu przyszedłem i siedziałem, obserwując spokojne, skute lodem jezioro, pomyślałem, jak to byłoby dobrze, gdyby i nas, mieszkańców, Wodna Pani uratowała, tak jak Snowida przed tym, co może nastąpić. Zaledwie te myśli przemknęły przez moją głowę i usłyszałem potworny dźwięk, to dudnienie. A potem się zaczęło. Zrobiło się potwornie zimno, śnieg sypał coraz mocniej. Tak jak teraz. Ludzie i zwierzęta zaczęli dziwnie się zachowywać, wielu zniknęło. Widziano okropne rzeczy. Rankiem wioska wyglądała jak po przejściu trąby powietrznej. I tak dzieje się co kilka lat. Ta okropna noc powraca.

- Dlaczego więc stąd nie uciekniecie? - nie wiedziałem, co właściwie o tym myśleć. Wyglądało na to, że stary kompletnie postradał rozum, ale gdzieś w głębi duszy byłem przekonany, że mówi prawdę. Sam się przecież przekonałem, że z tą wioską jest coś nie tak.

- Nie możemy. Każdy, kto próbował, zaraz wracał. Nie ma ucieczki. I tak trwamy od dziesięcioleci. Świadkowie tamtych wydarzeń nigdy się nie zestarzeni. - Poglądził się po długiej drodze i strzepał trochę płatków śniegu. - Dzieci pozostały dziećmi, starcy starcami. Tylko ci, którzy narodzili się po tamtym wydarzeniu, rosną i dojrzewają normalnie. Oczywiście jeśli wcześniej nie zabierze ich Noc Bajagi. Dostałem ratunek, ale nie taki, jakiego pragnąłem. Jesteśmy jak ptaki w klatce.

Przez chwilę znów spoglądał na jezioro. Milczeliśmy. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

- Musimy już iść - rozejrzał się, zaniepokojony. Mamy mało czasu. Ściemnia się - powiedział, przekrzykując wiatr.

Wracaliśmy dróżką wśród lasu, kiedy usłyszeliśmy wołanie.

- Henryku! - krzyknął ktoś.

- Ela - wydyszał i przystanął.

Po chwili zauważyliśmy niewielką postać. Wiatr dał coraz bardziej, coraz trudniej było iść. Staruszek wziął żonę pod ramię i ruszyliśmy dalej. Przedzierał się przez śnieg, brodząc w zaspach. Przez cienkie sportowe buty czułem przenikliwy chłód. Było mi coraz zimniej.

W końcu jakoś dowlekliśmy się do gospody. Pan Henryk ledwo trzymał się na nogach.

- Przeczekajmy tutaj, Henryku - wydyszała jego żona.

Kiwnął głową. Weszliśmy do środka, zatrzymując za sobą drzwi. Staruszek przystanął, a potem zamknął je na ciężką żelazną zasuwę.

*

W środku było dość ciepło. Przynajmniej biorąc pod uwagę to, co działo się na zewnątrz. Znaleźliśmy kilka koców i wszyscy się nimi owinęliśmy. Pani Ela z mężem usiedli na jednym z łóżek, my zajęliśmy kolejne.

Czekaliśmy.

Dudnienie stawało się coraz głośniejsze. Brzmiało teraz jak bicie olbrzymich bębnow. Pulsowało nam w uszach.

Nagle usłyszeliśmy nieludzki, charkotliwy chichot. Wzdrygnąłem się. Marta przysunęła się do mnie i szczerzej opatulila kocem. Staruszkowie też przylgnęli do siebie. Zerknąłem przez okno, które znajdowało się niedaleko. Poprzez wirujące płatki śniegu widziałem napływające zewsząd szare cienie.

A potem się zaczęło.

Wiatr trząsał okiennicami, a cała gospoda drżała, jak potrząsana ręką olbrzyma. Jak na obitej skorupce jaja, na ścianach wykwitły wąskie pęknięcia i szczeliny. Dom kołysał się i dygotał, czułem się jak na pokładzie jakiegoś cholernego statku podczas sztormu. Słyszeliśmy ponure wrzaski, przebijające się przez głośny szum wiatru. Na placu, otoczonym chałupami, coś się poruszało. Potem, gdzieś z dołu, dobiegły nas głośne stukoty. Ktoś walił w drzwi. Pani Elżbieta wbiła palce w ramię męża. Marta spojrzała na mnie z przestrawieniem. Serce zaczęło łomotać mi w rytm tego niepokojącego dudnienia. Zerwaliśmy się z Martą i wyjrzelśmy przez okno, po chwili dołączył do nas pan Henryk.

- Idą - wymamrotał.

Ciemne sylwetki wciąż tłoczyły się na placu. Przypominały cienie drzew. Tyle tylko, że poruszały się jak żywe istoty. I te odgłosy. Wydawało mi się, że rozbrzmiewają w mojej głowie cichymi, mrukliwymi szepcami, chrząknięciami i charkotami. Wciągnąłem głęboko powietrze.

Kiedy się odwróciliśmy, zauważyliśmy, że pani Elżbieta zniknęła. Na łóżku leżał tylko porzucony koc.

- Elu... - wymamrotał staruszek.

Spojrzałem przez okno i dostrzegłem ją. Brązowe palto pokrywały płatki śniegu, a kolorowa chustka powiewała na szczycie zasypanej śniegiem leśnej ścieżki, prowadzącej do jeziora. Żona pana Henryka szła nienaturalnie szybkim, mechanicznym krokiem, jak nakręcana zabawka.

Rzuciliśmy się wszyscy do wyjścia. Kiedy wybiegliśmy, spostrzegłem kilku innych mieszkańców, którzy tym samym sztywnym krokiem zmiierzali w stronę jeziora. Zauważyłem dwie kobiety, dwóch mężczyzn i szczerbatego Antka. Pani Elżbieta była już daleko. Jej ciemna sylwetka odcinała się na tle zasypanej śniegiem leśnej ścieżki, prowadzącej do jeziora. Pobiegliśmy w tamtym kierunku, jednak nim dotarliśmy na miejsce, wszyscy gdzieś zniknęli. Został tylko mały Antek. Zanurzał już bosa stopy w granatowej wodzie. Chwyciłem go za palto. Po chwili dobiegła do nas Marta, a zaraz potem, sapiąc, pan Henryk. Spojrzał na ciemne jezioro z popękkanymi kawałkami lodu, unoszącymi się na powierzchni jak rozbite szkło.

- Już za późno... Elu... - jęknął. Po jego policzkach spływały łzy.

My tymczasem, próbowaliśmy wyciągnąć chłopca z jeziora. Ten jednak zachowywał się jak mechaniczna kukła i cały czas parł do przodu. Woda sięgała mu już do pasa. Jego ciało było zimne jak lód. W oczach miał pustkę. Próbowaliśmy nim potrząsać. Nic to jednak nie dawało. W końcu, przy pomocy Marty, załadowałem sobie sztywnego jak kłoda chłopca na plecy. Niosłem go, brnąc powoli w lodowatej wodzie.

- Zabierz i mnie! - krzyknął nagle pan Henryk. Obejrzeliśmy się. Stał przy brzegu. Fale chłostały jego nogi. Patrzył przed siebie, na czarną toń. Nic mu jednak nie odpowiedziało.

- Idź po niego! - wydyszałem do Marty. Chłopiec był nienaturalnie ciężki, jego zimne, blade ręce bezwładnie zwisały się jak u szmacianej lalki. - Musimy się stąd zmywać!

Marta podbiegła do staruszka i zaczęła coś do niego mówić, a potem wzięła go pod rękę i poprowadziła w naszą stronę. Na początku się opierał i kręcił uparcie głową. Później dał za wygraną. Ruszyliśmy wszyscy w kierunku leśnej ścieżki.

Kiedy byliśmy w połowie drogi do gospody, usłyszałem coś niepokojącego. Pójdź. Szept zdawał się rozbrzmiewać w mojej głowie. Był zimny i straszny, a jednocześnie melodyjny i piękny. Pójdź ze mną, usłyszałem ponownie. Zerknąłem na Martę i staruszka. Ciągle trzymała go pod ramię. Przystanęli z dziwnymi minami. Więc też to słyszą, pomyślałem.

- Wracają - wychrypiał pan Henryk. Wzrok miał pusty.

- Szybciej - wysapałem.

Przyśpieszyliśmy kroku. Było mi potwornie zimno, a mokre buty i spodnie tylko wzmagaly to uczucie. Z każdym oddechem z naszych ust wydobywały się obłoczki pary. Wszyscy pokryci byliśmy śniegiem jak bałwany.

Gdy doczłapaliśmy do gospody i stanęliśmy przed drzwiami, odwróciłem się.

I wtedy ją ujrzałem. U wylotu wiejskiej drogi.

Skórę miała bladą i łuskowatą, oczy czarne. Otaczała ją chmara szarych cieni. Zielone niczym wodorosty włosy powiewały na wietrze. Jej ciemna szata, utkana z czegoś, co nie przypominało żadnego znanego mi materiału, ociekała wodą. Do moich nozdrzy dobiegł dziwny zapach: ryb i mułu. Patrzyła na nas. Marta też się odwróciła, a jej ręka znieruchomiała na żelaznej zasuwie. W mojej głowie znów rozległ się ten niepokojący głos, ale nie mogłem zrozumieć słów. Brzmiały, jakby wypowiedane były w obcym, niezrozumiałym języku.

A potem postać nagle odwróciła się i zaczęła wolno iść leśną ścieżką z powrotem w stronę jeziora.

Jej bose, mokre stopy zostawiały w śniegu lśniące lodem ślady.

Marta otworzyła drzwi i wpadliśmy do środka. Potem szybko ponownie je zatrzasnęliśmy.

Ułożyliśmy chłopca na jednym z łóżek i opatuliliśmy kocem. Ciągle był zimny i nieruchomy niczym bryła lodu. Zaczęliśmy chuchać na leżące bezwładnie ręce i rozcierać zmarznięte stopy. Po chwili dzieciak zamrugał, a potem spojrzał na nas, jakby przed chwilą zbudził się ze snu.

- Co się stało...? - zapytał. - Gdzie jestem?

- Wszystko będzie dobrze. - Marta pogłaskała go po mokrych od śniegu włosach.

Po chwili ziewnął i zamknął oczy. Zasnął.

Zrzuciłem przemoczone buty i wygrzebałem z torby suche ubrania. Potem poszedłem do schowka i przebrałem się. Marta wzięła ze mnie przykład i zaraz po mnie zniknęła za drzwiczkami klitki. Pan Henryk zasnął wyczerpany obok Antka. Wytarłem ich przemoczone włosy suchym ręcznikiem, a potem zdjąłem mokre wierzchnie ubrania i okryłem ich kocami. Kiedy osuszałem twarz staruszka, ten obudził się na chwilę.

- Słyszałeś, co mówiła...? - zapytał cicho.

- Ja? Nie mogłem zrozumieć...

- Ona wróci - przerwał. - Wróci po mnie... - wymamrotał, westchnął, a potem znowu zapadł w sen.

Wyjrzałem przez okno. Powoli zaczynało świtać. Śnieg przestał padać.

Ułożyliśmy się na łóżku. Marta zadrżała lekko, a potem po jej policzkach potoczyły się łzy. Zapłakała cicho. Do tej pory zadziwiła mnie tym, że potrafiła zachować zimną krew. Teraz puściły jej nerwy. Nie dziwiłem się, sam byłem wyczerpany. Przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem. Dotknęła dłonią mojego policzka, a potem poczułem na ustach muśnięcie jej ust. Były miękkie. Zimne i ciepłe jednocześnie. Słone i słodkie. Przytuliłem ją i pogładziłem po czarnych włosach. Pachniały rumiankiem. I letnim, ciepłym słońcem. Zamknąłem oczy.

*

Rankiem obudziłem się, ziewnąłem i rozejrzałem po pokoju. Pan Henryk stał przy oknie i wpatrywał się przed siebie. Marta spała z głową wtuloną w moją szyję. Wysunąłem się ostrożnie spod koca i podszedłem do staruszka. Po chwili odwrócił głowę.

- Dlaczego Noc Bajagi? Skąd ta nazwa? - zapytałem.

- W niektórych wersjach legendy o Snowidzie, kiedy zmierzał on w stronę jeziora, w ten wieczór, gdy zniknął, kowal ze wsi zapytał: „Dokąd to idziesz, Snowidzie?”. Rybak odpowiedział coś, co brzmiało wtedy dla kowala całkiem niezrozumiale: „Do Bajagi”. Niektórzy mówili potem, że to imię tej Wodnej Panny. Stąd nazwa.

- Co takiego stało się tamtej pierwszej nocy, o której pan mówił? Dlaczego przyszedł pan wtedy nad jezioro?

- Tamtego dnia ogłosili to wszystko. Zaczęły się aresztowania. Telefon milczał. Chciałem tylko spokojnie dożyć tutaj starości. Nie myślałem, że... A teraz Ela... - zapatrzył się w okno. - To była tylko legenda. Tylko legenda... - westchnął.

Położyłem mu rękę na ramieniu. Milczeliśmy przez krótką chwilę. Chyba dopiero wtedy zrozumiałem.

- Jak tam jest teraz? - zapytał nagle. - Kiedy zjawiali się poprzedni goście, próbowałem podpytywać tak, żeby się nie zorientowali. I trochę się dowiedziałem. Nigdy jednak nie miałem okazji zapytać

wprost.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- W gruncie rzeczy nie jest źle, jeśli się spojrzy wstecz - odpowiedziałem. - Nie jest źle.

Przetarłem ręką zaparowaną szybę i wyjrzałem za zewnątrz.

*

Śnieg zniknął. Znowu było gorące, sierpniowe lato.

Wioska wyglądała jak po przejściu tornada. Porozwalane płoty, pozrywane dachówki i większość dachów ze stodół. Gdzieś tam leżały martwe kury i inne zwierzęta. Minęliśmy rozdęte szczątki konia z wywalonym językiem. Marta odwróciła głowę i ścisnęła mnie za rękę, jej dłoń była przyjemnie ciepła. Wszyscy mieli posępne miny, ale jednocześnie wydawali się pogodzeni z losem i wyczuwało się pewną ulgę. Powoli zaczęli naprawiać zniszczenia i szacować straty.

Poprowadziliśmy Antka do domu, jednak kiedy przed nim stanęliśmy, usłyszeliśmy głośny płacz.

- Ania - jęknął chłopiec i rzucił się pędem do drzwi.

Gdy za nim weszliśmy, oboje siedzieli skuleni pod stołem. Chłopiec tulił siostrę, która chlipała głośno.

- Rodzice...- spojrział na nas ze smutkiem. - Oni...

Okazało się, że Noc Bajagi zabrała pana Wiesława i jego żonę. Zrobiło mi się cholernie smutno, miałem nadzieję, że ktoś z mieszkańców będzie w stanie zająć się dziećmi. Kiedy Marta uspokoiła trochę małą, wziąłem ją na barana i wszyscy czworo wyszliśmy, zostawiając za sobą pustą chałupę.

*

Kilka godzin później mieszkańcy znowu wyszli nas pożegnać. Pan Henryk oraz mała, znajoma grupka dzieciaków, a także inni, których imion nie znałem, ale kojarzyłem ich twarze. Patrzyli wyczekująco. Wcisnąłem pedał gazu i ruszyłem. Dzieciaki znowu machały nam na pożegnanie.

Czy tym razem uda nam się wyjechać?, myślałem gorączkowo. Wprawdzie pan Henryk mówił, że jeszcze nikt z przejezdnych nie utknął tu na zawsze, ale też i nigdy na tak długo jak my. I nikt inny nie był świadkiem tej przeklętej nocy. Bałem się. Cholernie się bałem. Spojrzałem na Martę. Wpatrywała się przed siebie. Czyżby myślała o tym samym? Pewnie tak.

Jechaliśmy znowu wąską, piaszczystą drogą. Była tak samo długa jak wcześniej, i tak samo otaczał ją gęsty las. Dojechaliśmy do skrzyżowania. Zatrzymałem się i zerknąłem na Martę.

- To w którą stronę jedziemy? - zapytałem.

- W lewo? - odpowiedziała niepewnie.

Skręciłem. Jechaliśmy jakiś czas, aż nagle naszym oczom ukazał się szary pasek asfaltu. Odetchnąłem. Marta spojrzała na mnie i kąci jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu. Odpowiedziałem jej tym samym.

Coś zapiszczało, dopiero po chwili zorientowałem się, że to mój telefon. Dawno już nie słyszałem tego dźwięku. Dzwonił brat Marty.

- Gdzie, do cholery, jesteście?! - wykrzyczał. - Kumple Marty nie mogli się do niej dodzwonić i trują mi dupę. Powinniście być na tamtym przystanku już godzinę temu!

Godzinę? Pamiętam, że kiedy wjeżdżaliśmy do wsi, była szesnasta. Teraz zegar w telefonie pokazywał siedemnastą. Minęła tylko godzina? Jak to możliwe?

- Niedługo będziemy - odpowiedziałem. - Mieliśmy małą... - zastanowiłem się przez chwilę - ...awarię.

Odkładając komórkę, spojrzałem na wyświetlacz. Coś się nie zgadzało. W lewym górnym rogu widniało: 13.12.1981. Przypatrywałem się chwilę. Westchnąłem, a potem przestawiłem datę na właściwą: 14.08.2011 - wklepałem. Schowałem telefon.

Zerknąłem do tyłu. Antek i Ania, zaciekawieni, wyglądali przez okno. Odetchnąłem z ulgą.

Pan Henryk mówił, że tylko raz udało się komuś stamtąd uciec. Dawno temu, kiedy jacyś przejezdni pojawili się we wsi, jego kotka odchowowała młode. Nieznajomym spodobało się jedno z kociąt, więc zabrali je ze sobą. Wszyscy spodziewali się, że kociątko zostanie, kiedy obcy już znikną - w końcu należało do tamtego miejsca. Ale tak się nie stało. Kociakowi udało się bez problemu wydostać z wioski razem z przejezdnymi. Nikt nie wiedział, dlaczego. Kiedy o tym usłyszeliśmy, postanowiliśmy spróbować. Nie mogłem uwierzyć, że się udało. Nie robiliśmy sobie zbyt dużych nadziei. Może powiodło się nam dlatego, że samochód nigdy nie był częścią wioski. Tak jak i my. A może po prostu Bajaga czasem przymykała oko. Czy to w ogóle możliwe? Nie miałem pojęcia.

- Udało się - szepnęła Marta. - Niesamowite.

- Tak. Niesamowite. Aż zacząłem żałować, że nie wypchałem całego bagażnika ludźmi. Ale może wtedy ten numer by już nie przeszedł?

- Możliwe. Im więcej chcesz przeszmużlować, tym łatwiej wpaść.

Zaśmiałem się i włączyłem radio. Z głośników zaczęło rozbrzmiewać nieśmiertelne Stairway to Heaven Led Zeppelin.

Właśnie wjeżdżaliśmy na szeroki pas asfaltówki. Przycisnąłem mocniej pedał gazu.

*

Po tamtych wydarzeniach, odwiedzałem ciotkę Irenę jeszcze kilka razy. Nigdy już jednak nie natrafiłem na tę wieś. Nie mogłem też znaleźć jej na żadnej mapie. Miejscowość o nazwie Snowód nigdy formalnie nie istniała. Zupełnie jakby jakaś milcząca siła skryła ją przed wszystkimi i wszystkim pod wielką, ochronną dłońią.

Tylko czasem można było się tam dostać. Wąską drogą wśród gęstego, ciemnego lasu. Jak cienką szczeliną między mocno zaciśniętymi palcami.